

Panna z Wilka

Byłem w teatrze. Nie chodzę tam, ale dziś byłem. Nie chodzę, bo nie lubię siedzieć. A jak mam siedzieć nieruchomo przez dwie godziny, to wolę pójść na spacer. Jak było? Kulturalni ludzie na widowni. W modzie ludzi kulturalnych dominuje kolor czarny. Poszedłem w czerwonym swetrze. Obok mnie siedziała młoda dziewczyna w czerwonej bluzce. Wyobrażałem sobie, że będziemy dla aktorów czerwoną plamą na czarnym tle widowni. Siedzieliśmy w szóstym rzędzie, który był czwartym. To znaczy rząd miał numer sześć, ale był czwarty, bo nie było rzędu pierwszego i drugiego. Prawie tak samo jak na dworcu kolejowym w Lublinie, gdzie jest peron numer 51 i 52, a wszystkich jest raptem trzy. Kiedy opowiedziałem o tym pięknej osobie, ta odpowiedziała, abym nie próbował zrozumieć wszystkiego. Dziś przyszedłem na jej przedstawienie. Grała jedną z głównych ról. Usiadłem na sali pierwszy i z sympatią oglądałem, jak kulturalni Pan i Pani sprzecają się ze sobą, który to rząd jest ich rzędem. Trzeci czy może jednak piąty?

To była adaptacja opowiadania Iwaszkiewicza. Próbowałem wcześniej je przeczytać, ale tego nie da się czytać na sucho. Adaptacja była bardzo udana. Szczególnie scenografia i rozłożenie głównej roli męskiej na dwóch aktorów. Sami aktorzy byli chyba jednak za starzy. Główną 35-letnią rolę męską grał 50-letni łysy facet z brzuszkiem. Nie dziwię się, że bohater myślał już o starości. Spektakl nie zaszarował. Aktorzy biegali po scenie, śpiewali i chyba dobrze się bawili, gdy tymczasem my siedzieliśmy unieruchomieni w wygodnych krzeselkach. To jakbyś poszedł na wieczór taneczny, na którym nie możesz tańczyć, możesz tylko podziwiać innych. Taka rola widza. Trudno mi zapomnieć o swoim ciele. Zgaszenie światła nie wystarczy. Jako widownia zachowywaliśmy się aż nazbyt przyzwoicie. Skromne śmiechy na dwa żarty i jeden większy, prawdziwy rehot przy odniesieniu do bieżącej sytuacji politycznej, o rewizji konstytucji przez Marszałka Piłsudskiego (Stendhal miał kiedyś powiedzieć, że „sztuka już za niedługo przestanie być wielkim przeżyciem ludzkości, masę wkrótce zacznie interesować polityka”). A tak przedstawienie o kolejnym facecie, który nie wie, jak osiągnąć i przeżywać miłość - przyjemność. Najpierw ojczyzna zabiera go na wojnę, a potem praca go wciąga w szlachetne misje. Jeszcze chciałby (jeszcze? ma tylko 35 lat!), ale nadal nie może, wciąż nie umie, ponownie nie wychodzi mu. Nie wiem, czemu robią spektakle o impotentach i czemu my je oglądamy. To jest demoralizujące, osłabia morale. Za to uczy jak ładnie oraz godnie cierpieć. To

wszystko takie poważne, takie gęste. W tej historii nie było ani jednego szczęśliwego człowieka. Oczywista dyskryminacja.

Spektakl nie oczarował, nie miał szans z tą jedną osobą. Obserwowałem jej prawie każdy ruch, nawet jeśli tylko siedziała w głębi sceny. Słuchałem, jak jej niski głos wyraźnie roznosił się po widowni i czułem, kiedy przenikał pod mój splot słoneczny. Miękki, niski głos, który dotąd znałem jedynie z bliskiej rozmowy. Pochłonęło mnie, że osoba, którą znam osobiście, w tym momencie gra kogoś innego na scenie kilka metrów ode mnie. Te same gesty, barwa głosu, śmiech, nawet to samo uniesienie barków. Przecież ją znam. Przedwczoraj z nią tańczyłem. Dotykałem jej dłoni w konwencji, na którą nie zdążyliśmy się umówić. Dziś dzieliły nas cztery rzędy i rola. Jej obecność oświetlona - podniesiona do potęgi jak po sześciu kulkach mocy. Cudowne i dziwne niczym lekki zawrót głowy. Lubię stąpać mocno po ziemi, a tu takie numery. Lubię brać i dawać, a tu nie można się ani ruszyć, ani odezwać, można tylko niemo podziwiać. Naprawdę nie wiem, czy mi się to podoba.

Uspokajałem się wracając do domu. Spacer plantami Dietla, światła aut i latarni, ludzie w sklepach otwartych do późna, drobny deszczyk na parasol. Przytulne, bezpieczne centrum miasta dla turystów i kulturalnych ludzi. Na wylotówce życie wyraźnie trudniejsze, zmęczone po całym dniu kobiety czekały na małego busa, który rozwiezie nas po podkrakowskich wsiach. A tam, dwadzieścia kilometrów dalej już grudzień w połowie września. Pogoda niczym nie powstrzymana rozlała się deszczem po polach. Rowerem w ciemnościach pod górę, pod wiatr pokonywałem dystanse i prędkości. Oglądałem drzewa i choć wichura wyginała je niemiłosiernie, uspakajałem się ich realnością i zwykłością. Pedalując rozgrzałem napięte mięśnie, oddech i bicie serca stały się szybkie i miarowe, okulary zaparowały. Pędziłem środkiem drogi. W taką pogodę nawet auta wołały spać w garażach. Rozmyślałem o tym, że byciu szczęśliwym nie po drodze ze słusznymi decyzjami. I o tym, że mój kraj jest tak ciężki moralnie. Tak starczo przygarbiony pod ciężarem szlachetnych powinności, grzęźnie w niemocy, ukrzyżowany powtarza wiekowe schematy poświęcenia. Iwaszkiewicz chyba zaczął działać. Dopiero w domu, w łóżku z sokiem malinowym od cici i suszonymi daktylami w pościeli odzyskałem przyjemny nastrój oraz obiecałem sobie pójść do teatru w Odessie. Dla odmiany.

18.09.2019